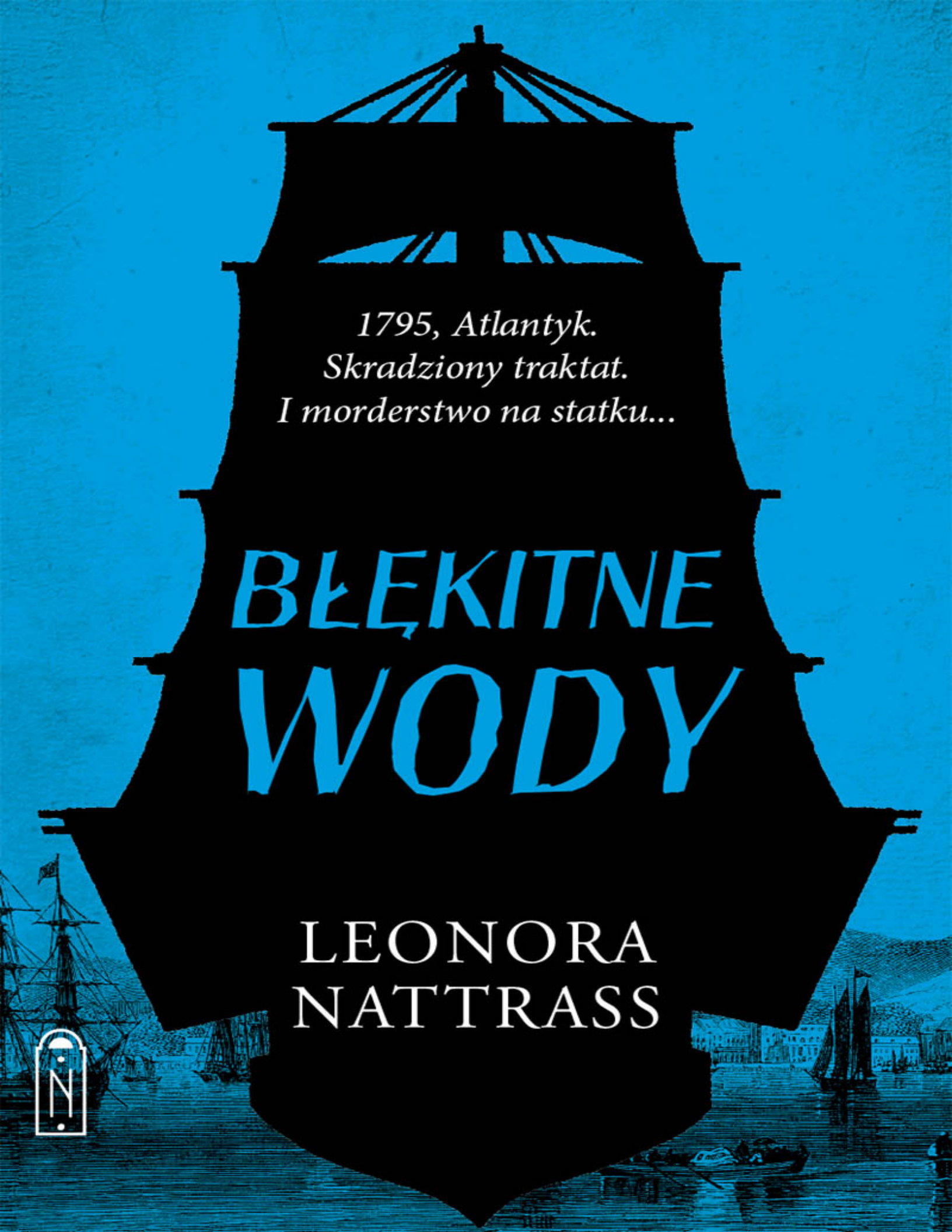




*1795, Atlantyck.
Skradziony traktat.
I morderstwo na statku...*

BŁĘKITNE WODY

LEONORA
NATRASS



BŁĘKITNE WODY

LEONORA
NATTRASS

Przekład:
Marta Szelichowska

Wydawnictwo Nemezis

Tytuł oryginału: *Blue Water*

Copyright © Leonora Nattrass, 2022

Copyright for this edition © 2025 by Heraclon International Sp. z o.o.

Copyright for the Polish translation © 2025 by Heraclon International Sp.
z o.o.

Projekt okładki: Profile Books

Ilustracje na okładce: © ZU_09 @ iStock

Redaktor prowadzący: Anastazja Tabor

Redakcja: Iwona Hardej

Korekta: Maria Pietrusiewicz

Redaktor techniczny: Basia Borowska

Wydanie I

ISBN: 978-83-8412-240-2

EAN: 9788384122402

ISBN e-book: 978-83-8412-241-9

Wydawnictwo dziękuje Bibliotece Śląskiej za zgodę na wykorzystanie
cytatów z *Raju utraconego* Johna Milтона w przekładzie Jarka
Zawadzkiego.

Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki oraz redakcji.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie w całości lub w częściach
wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

SŁOWO OD AUTORKI

W 1793 roku wybuchła wojna między Wielką Brytanią a postawioną w stan rewolucji Francją. W 1794 roku John Jay, wysłannik Stanów Zjednoczonych, przybył niezapowiedziany do Europy z misją naprawienia napiętych stosunków między jego krajem a Wielką Brytanią lub, alternatywnie, znalezienia sojuszu z Francuzami. Rząd brytyjski, chcąc uniknąć wojny na drugim froncie, rozpoczął negocjacje w sprawie nowego traktatu o przyjaźni i handlu ze swoją starą kolonią.

Traktat Jaya został podpisany w listopadzie 1794 roku i wysłany drogą morską na pokładzie statku Tankerville w celu pilnej ratyfikacji przez amerykański Kongres.

POSTACI

Politycy i ich otoczenie

Lord Grenville – minister spraw zagranicznych na Downing Street

Laurence Jago – potajemnie zatrudniony, zhańbiony urzędnik
Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Pan Gibbs – pies Laurence’a

William Philpott – lojalistyczny dziennikarz i zagorzały obrońca
Traktatu Jaya

Theodore Jay – syn amerykańskiego wysłannika Johna Jaya, wiozący
Traktat do Filadelfii

Peter Williams – niewolnik, lokaj i sekretarz rodziny Jayów

Frederick Jenkinson – urzędnik Ministerstwa Wojny

Załoga tankowca

Kapitan Morris – z Flushing, Falmouth

Pan Peters – jego rozsądny pierwszy oficer

Pan Trevenen – jego przystojny drugi oficer

Pan Rogers – jego choleryczny trzeci oficer

Pan Kidd – chirurg okrętowy

Pan Smith – strzelec okrętowy

Pan Spiers – cieśla okrętowy

Pan Hind – kucharz okrętowy

Przesądny żaglomistrz

Ben – chłopiec okrętowy

Pasażerowie

Komtesa Emilie de Salles – francuska szlachcianka uciekająca z rewolucyjnej Francji

Maximilien de Salles – jej siostrzeniec, były żołnierz francuskiej armii rojalistycznej

Obadiah Fletcher – agent biznesowy Eliego Whitneya i jego przędzalni bawełny

Lizzie McKendrick – irlandzka aktorka

Bruin – jej niedźwiedź

Wrogowie

Kapitan Benoît – kapitan francuskiego żaglowca Lovely Lass

CZĘŚĆ PIERWSZA

Szatan (...)

Dalej w drogę wyrusza, przybywa do granic

Edenu, gdzie Raj słodki, bliższy teraz, wieńczy

Swym zielonym parkanem niczym wiejskim płotem

Płaską głowę stromego pustkowia

(...)

Stamtąd wzbił się w powietrze i na Drzewie Życia,

Środkowym i najwyższym z drzew, które tam rosły,

Usiadł niczym kormoran.

John Milton, *Raj utracony*, przeł. Jarek Zawadzki, ilustr. Pola Dwurnik,

Biblioteka Śląska, Katowice 2024, s. 140, 142.



„WEEKLY CANNON” PHILPOTTA

Gdzieś poza Ushant

16 grudnia 1794 roku

Przyjrzyj się uważnie. Nie, bliżej. Mimo mgły skieruj wzrok na ten punkt, tam, na ruchomej powierzchni wody. Widzisz go? Ta ciemna smuga, połyskująca i wylaniająca się z grzbietu i bruzdy kanału La Manche to Tankerville, statek pocztowy na posterunku między Falmouth a Ameryką. Przewozi listy do Indii Zachodnich, depesze do kapitanów okrętów wojennych i garstkę chorych pasażerów do Ameryki.

Tankerville jest mały i trójmasztowy, z niebieskim i złotym wykończeniem. Jest długi na dwadzieścia pięć metrów i szeroki na sześć, dość schludny pomimo krów i indyków, stosów zwiniętych lin i zapasowych żagli oraz sporego ożaglowania rozpiętego na prawie sto stóp nad naszymi głowami. Jeśli uniknie przeciwnego wiatru w kanale La Manche, przetransportuje nas trzy tysiące mil z Falmouth do Halifaxu w Nowej Szkocji, z przystankami na Maderze, Barbadosie, w Delaware i Nowym Jorku. Ale dla mojego czytelnika, poczciwego Johna Barleycorn¹—siedzącego przy angielskim kominku, nazwy tych miejsc są być może jedynie słowami o niewielkim znaczeniu. Dlatego, John, dla twojej wygody narysowałem mapę, z zaznaczoną na niej, jak widzisz, okrężną drogą naszej podróży. Gdybym zwracał się do szlachty siedzącej przy większych paleniskach, nazwałbym trasę naszej podróży czymś w rodzaju ogrzewacza do potraw, ale dla łatwiejszego zrozumienia będę ją raczej nazywał brukwią lub burakiem pastewnym. Z pewnością jest to trasa okrężna, nieco zaskakująca dla oka, ponieważ bezpośrednie przepłynięcie przez ocean może wydawać się znacznie wygodniejsze. Ale, Johnie, istnieje świat

wiatrów i pływów, który jest zupełnie nie do pojęcia dla ludzi takich jak ty i ja. To z nimi zmaga się kapitan, gdy decyduje o pozycji statku i wynikających z niego ustawieniach żagli na podstawie własnego, zadziwiająco prostego intelektu.

.....

1 W Anglii i Szkocji uosobienie napojów alkoholowych; tu: wyobrażenie Philpotta o typowym angielskim czytelniku jego gazety, siedzącym przy kominku ze szklaneczką whisky.

Z DZIENNIKA KAPITANA

17 grudnia 1794 r.

Współrzędne geograficzne 48°43'N i 6°30'W

U wybrzeży Ushant

*Wstałem tuż przed świtem, o ósmej byłem na porannej wachcie i zajęłem się
prowiantem oraz innymi sprawami. Cóż to za błogosławieństwo dla mojej
niestrawności! Wiatry wieją przeciwko nam. Ciężkie morze.*

RAPORT LAURENCE'A JAGO

*Do wiadomości ministra spraw zagranicznych lorda Grenville'a
Downing Street, Londyn*

Mój Panie,

usłyszysz Pan z pewnością tyle relacji z tej podróży, ilu jest pasażerów na pokładzie, jednak będąc na tym statku Pańskimi oczami i uszami, uważam za swój obowiązek przedstawić własną relację, aby przeciwstawić się niestworzonym historiom, które bez wątpienia dotrą do Pana w swoim czasie. (Mam tu na myśli głównie mojego rzekomego pracodawcę, pana Philpotta, i szereg artykułów dla „Weekly Cannon”, które zamierza wysłać do Anglii, gdy zawiniemy do portu). Moja reputacja zhańbionego urzędnika, zwolnionego ze służby, okazała się tak przydatna, jak się Pan spodziewał. Dzięki niej łajdacy bez większych skrępowań ujawniają mi swoje uczucia i plany.

Mam tutaj nadmiar czasu, może więc Pan uznać ten raport za zbyt długi, ale wykonałem kopie z dziennika kapitana i obszernych pism pana Philpotta, a także innych dokumentów, które wpadły mi w ręce i mogą rzucić światło na naszą podróż. Obaj jednak wiemy, jak niezasłużona była ta rola, do której zostałem przez Pana zmuszony, i niech mnie szlag, jeśli nie dostanie Pan w moich usługach równowartości swoich pieniędzy.

1

Śmierć przybyła wraz z kormoranem. Wylądował na pokładzie siódmego dnia naszego rejsu i usadowił się na bukszprycie z rozpostartymi skrzydłami, by wysuszyć pióra na ostrym wietrze. Był zbyt daleko od brzegu – został prawdopodobnie wyrzucony w morze przez potężną wichurę, którą spotkaliśmy u ujścia kanału La Manche i która trzymała nas w pobliżu Ushant przez pełne trzy dni, niebezpiecznie blisko francuskiego portu Brest. Biedny ptak był wyczerpany i wcale nie miał ochoty ponownie wzbijać się w powietrze, pomimo wszystkich wysiłków przesądnej załogi.

– To coś najbardziej niezwykłego, co w życiu słyszałem – zauważył głośno Philpott, wciskając się przez otwarte drzwi mojej kabiny. Jak zwykle miał na sobie niecodzienny strój rolnika – długi płaszcz z wielkimi kieszeniami, skórzane getry i kapelusz z szerokim rondem. Wykrzykiwał swoje uwagi ponad rykiem wody i skrzypieniem poszycia statku. – Wydają się pewni, że przynosi pecha, ale nie ma zgody co do tego, czy zwiastuje sztorm, straszny wypadek, czy też jest tylko duchem jakiegoś nieszczęsnego żeglarza skazanego na wędrowanie po morzach aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Zgrabnie przeszedł nad nocnikiem, który wraz ze wznoszeniem się i opadaniem statku wesoło przesuwał się od dziobu do rufy. Liczyłem do pięciu, kiedy statek się wznosił, i znowu do pięciu, kiedy opadał. Opuściłem swój egzemplarz *Raju utraconego*, a Philpott wcisnął się wygodniej w dwumetrową przestrzeń między moją koją a ścianą kabiny, zasłaniając jedyne światło. Słyszałem ponure muczenie krowy z pokładu powyżej i słabe, ale uporczywe szczekanie, które mówiło mi, że mój pies

znów zaczepia indyki. Czasami obawiałem się, że gulgotanie, które wywoływał wśród obrażonych ptaków, skłoni załogę do wyrzucenia go za burtę. Ale chłopiec okrętowy przywiązał się do niego i Pan Gibbs, kiedy nie dokuczał żywemu inwentarzowi, przez cały dzień snuł się po pokładzie za tym dzieciakiem.

– Rozmawiałem ze strzelcem – mówił dalej Philpott. – Niejakim panem Smithem. Na Boga, to bardzo rozsądny człowiek i świetne źródło informacji. Powinieneś go poznać, Laurence. Powiedział mi, że w Falmouth zostawiliśmy za sobą europejski księżyc, a gdy minimy zwrotnik Raka, zobaczymy amerykański. Cholera jasna, widziałem oba te księżyce sto tysięcy razy na obu kontynentach, ale przez te wszystkie lata nigdy nie zauważyłem różnicy.

Oderwany od swoich zwykłych zajęć na lądzie, gdzie sprawiał wrażenie dość bystrego, Philpott coraz gorzej łączył fakty. Zaczerpnąłem tchu, by głośno podzielić się z nim moją skromną wiedzą z dziedziny astronomii, ale rozproszyła mnie ciemna postać przechodząca za jego plecami z wiadrzem od strony kajuty Theodore’a Jaya. Był to Peter Williams, niewolnik Theodore’a. Wywnioskowałem po pierwsze, że w wiadrze znajdują się wymiociny, ponieważ syn amerykańskiego wysłannika haftował od Falmouth, a po drugie, że pan Jenkinson z Ministerstwa Wojny ponownie zabarykadował się w wygodce dla pasażerów, uniemożliwiając wygodne pozbycie się zawartości wiadra. Biedny Peter Williams zmuszony był nieść wiadro przez całą niebezpieczną drogę na przedni pokład, do otwartej kraty, która ciągnęła się aż do galionu na dziobie statku. Była to bardzo publiczna i niebezpieczna toaleta, regularnie obmywana przez fale, a teraz niestabilna z powodu kołysania się statku.

Philpott wciąż rozmyślał o konfabulacji strzelca.

– Mówi, że czeka nas więcej cudów.

– Może drugie słońce? – Miałem rozstrojony żołądek, co sprawiało, że byłem drażliwy.

Philpott zmarszczył brwi, patrząc na mnie. Jego małe oczy niemal zniknęły w szerokiej twarzy, gdy szczególnie gwałtowna fala wprawiła statek w drżenie i prawie zrzuciła mnie z koi. Nie po raz pierwszy pozazdrościłem marynarzom ich hamaków, które może i były mniej eleganckie, ale z pewnością bardziej praktyczne.

– Bynajmniej. Nie, nie, opowiadał mi wspaniałą historię ich ostatniego rejsu. Zepchnięci z kursu przez huragan taki jak ten, znaleźli się nagle na mieliźnie Morza Sargassowego.

– W jakiej bieliźnie?

– Na mieliźnie. Na Morzu Sargassowym. Cholera, nie słyszałeś o tym?

Podejrzywałem, że wiedza pana Philpotta na ten temat jest tylko o pół godziny starsza od mojej, ale jedynie potrząsnąłem głową, bo jego twarz przybrała drwiący wyraz, a on sam zaczął mówić głośniej.

– Morze Sargassowe, mój chłopcze, to dziwny i przeklęty zbiornik wodny, niezwykle wir pośród dzikiego Atlantyku, gdzie stoją statki uwięzione na mieliźnie, kompas traci orientację, a węgorze ogromnych rozmiarów i w ogromnej liczbie bawią się wśród niezwykle pól wodorostów.

To poszło trochę za daleko, nawet jak na strzelca.

– Nonsens. Mamy węgorze w domu, w stawie na farmie, i nigdy nie słyszałem, by się bawiły.

Philpott spurpurowiał.

– Czyżby był pan lepiej zaznajomiony z Oceanem Atlantyckim niż pan Smith? To absolutna prawda, zapewniam pana. Morze kipi tam od węży, a każdy nieszczęśnik, który tam wypadnie za burtę, zostaje natychmiast schwytany.

– Aby wpaść do wody podczas flauty, trzeba jednak być wyjątkowym pechowcem.

Zignorował moje niedowierzanie albo go nie usłyszał, a przed dalszym sporem uratowało nas pojawienie się w mesie groźnej Comtesse de Salles, która przeszła korytarzem ze swojego dostojnego odosobnienia w kapitańskim salonie, który został jej wynajęty za sporą sumę. Jej siostrzeniec Max miał kajutę obok nas, pospólstwa, a ona lubiła mieć go na oku. W tej chwili mesa była pusta, tylko Max czyścił pistolety przy stole. Był energicznym mężczyzną w wieku trzydziestu pięciu lat, który nawet w cywilnym ubraniu wyglądał na żołnierza. Do płaszcza miał przypięte medale za męstwo. Złamany nos i oparzenie na policzku tworzyły wyobrażenie, że zajrzał do piekła i stamtąd powrócił.

– Tam jest owca² – oznajmiła hrabina dziwną angielszczyzną, a Philpott wyprężył się jak struna. Zszedłem z koi i wyszedłem za nim do mesy. Kiedy Max nie podniósł wzroku, komtesa uderzyła go laską w knykie. – Owca! Tuż pod moim oknem.

Jej siostrzeniec podniósł wzrok i odezwał się z typową dla siebie wystudiowaną zwięzłością: – To statek z Liverpoolu, *tante* Emilie, chyba indiaman³. Zabieramy pasażera.

– Będiesz patrzeć, jak wchodzi na pokład? – Była już ubrana w obszerny płaszcz na spacer po pokładzie, choć jej niepraktyczne spódnice ze sztywną halką utrudniały jej znacznie wejście po drabinie.

– Jest cholernie zimno i mokro.

Komtesa rzuciła siostrzeńcowi spojrzenie, które zniechęciłoby szarżującego lwa, i uciekła się do szybkiej francuszczyzny, którą, o czym nie mogła wiedzieć, doskonale rozumiałem.

– Nie bądź marudą, Maximilien. Przez te dwadzieścia lat, w deszczu czy w słońcu, nigdy nie opuściłam porannego spaceru.

Jak na tak potężnego mężczyznę, poddał się z łatwością i ruszył po swój płaszcz, podczas gdy Philpott, rozumiejąc znaczenie, jeśli nie treść słów, uśmiechnął się i skinął głową, byśmy podążyli po drabinie za starą jędzą. Stwierdziłem, że wciąż trzymam w ręku egzemplarz Milтона, i z przyjemnością położyłem go na stole w mesie obok pistoletów Maxa. W obecnych okolicznościach mojego życia upadek człowieka i sąd Boży okazały się nieprzyjemnymi tematami.

Na pokładzie komtesa stanowiła imponujące widowisko. Wiatr targał jej płaszczem, na pomarszczonych policzkach malował się intensywny rumieniec, a ona sama tworzyła niezwykły kontrast z na wpół utopioną postacią, wyczołgującą się po burcie statku z małej łódki, która właśnie pokonała sto jardów piętrzących się fal, dzielących nas od kołyszącego się na wzburzonych wodach statku handlowego. Indiaman wydawał się potwornie duży, z szeregiem prawdziwych i udawanych ambrazur⁴ wzdłuż burt.

– Żagle na maszt! – krzyknął ktoś z masztu nad nami.

Kapitan Morris spojrzał na przybyłego pasażera, a potem na obserwatora na bocianim gnieździe, który zawołał z ukrytym mrocznym podtekstem w głosie:

– Płyniemy na wschód, sir, na północnym wschodzie francuska fregata.

Załoga małej łodzi, słysząc tę informację, która dotarła do niej wraz z silnym wiatrem, uznała ją za wystarczający powód, by niezwłocznie zawrócić w kierunku lądu, a biedak wspinający się na naszą burtę zawisł niebezpiecznie nad otwartym morzem. Kilku marynarzy pospieszyło mu z pomocą, a gdy w końcu wdrapał się na pokład, ociekający wodą i przerażony, okazał się małym, przysadzystym mężczyzną w długim płaszczu.

Kapitan był nieco rozkojarzony:

– Pan Obadiah Fletcher, prawda? Tak, tak, spodziewaliśmy się pana. Dokonałbym prezentacji, ale wygląda na to, że musimy natychmiast wyruszyć w drogę. W każdym razie witamy na pokładzie, sir, serdecznie witamy.

Fletcher był najwyraźniej zbyt oszołomiony okolicznościami swojego przybycia i dziwnymi minami otaczającej go załogi, by zbyt wiele myśleć. Drugi oficer uprzejmie wziął go za ramię i zaprowadził pod pokład. Philpott pospiesznie przeszedł na burzę, walcząc z dużą falą. Gdyby się palił, skutecznie by go ugasiła. Kapitan zwinnie wspiął się na olinowanie, a z szarej mgły wyłoniła się komtesa. Jej dostojna godność nagle wydała się umniejszona. Max był świeżo przybyłym z Austrii żołnierzem, który walczył we francuskiej armii rojalistycznej. Nie wiedziałem, po co płyną z komtesą do Ameryki, ale gdyby przejął nas jakikolwiek francuski statek, bez wątpienia zostaliby odesłani do Paryża na szybką egzekucję na gilotynie, ponieważ z racji samego urodzenia byli wrogami nowej republiki. Gdy patrzyłem, jak Max dołącza do komtesy przy relingu, a jego ciało jest napięte ze wzburzenia, czułem równocześnie współczucie i odrazę. Ja również zostałem wykorzystany przez rząd, który powinien był mnie chronić, ale nazwano mnie zdrajcą z bardziej racjonalnych powodów. Co więcej, sama myśl o uciekającej francuskiej szlachcie zawsze wprawiała mnie w zakłopotanie. Przekazałem w swoim czasie wystarczająco dużo wiadomości tym, którym nie powinienem, i nawet największa dawka Black Drop⁵ nie pozwalała mi rozprawić się z żalem.

Obserwator znów zawołał coś z masztu, a kapitan, który dotarł już wysoko, przesunął nieco lunetę. Morze wznosiło się pod chmury, które niemal dotykały wody, a statek unosił się na falach, ledwo idąc pod wiatr z zachodu. Poszedłem za Philpottem do relingu.

– Nic nie widzę.

Patrzył w górę, na marynarzy stłoczonych na takielunku – widać było głównie ich gołe stopy.

– Są wciąż za daleko, by zobaczyć ich z pokładu, ale podobno wszystko jest w porządku.

Indiaman już podnosił żagle, próbując zawrócić przez ciężko wywalczone mile w kierunku domu.

– Przeklęci głupcy – zawołał kapitan do pierwszego oficera za sterem. – Weszli w półwiatr, a Francuzi ich widzieli. Nie mogą uciec. No cóż, to zły wiatr, jak mówią. Panie Peters, kurs do wiatru, odbijemy najlepiej, jak potrafimy, i miejmy nadzieję, że nas nie zobaczą.

Philpott pospiesznie podszedł do koła sterowego i zakumplował się ze sternikiem. Przyglądał się obserwatorowi na maszcie, jakby miał zamiar wspiąć się i do niego dołączyć. Zanim jednak zdążył zerknąć na mnie swoim niebieskim jak porcelana okiem i zażądać, bym z nim poszedł, oddaliłem do innych pasażerów, którzy stali na rufie. Chłopiec okrętowy krążył wokół swojej skrzyni z indykami, stawiając niepewne kroki na zalewanym wodą pokładzie jak nowo narodzone jagnię, a Pan Gibbs podskakiwał i szczekał z wilczym entuzjazmem. Zatrzymałem się, by potargać psa za uszy, a on zrewanżował mi się pobieżnym liźnięciem.

Theodore Jay opróżniał wnętrzności przez reling rufowy. Najwyraźniej dopiero co zwlókł się z koi i był ubrany tylko w koszulę i bryczesy. Włosy mierzwił mu silny wiatr. Stracił całą swoją młodzieńczą godność i wydawał się doceniać jakąkolwiek uprzejmość. Podszedłem do miejsca, w którym stał ze swoim czarnym służącym. Peter Williams sam był sztywny i ledwie utrzymywał pion. Odwracał się od Theodore'a, wziąłem więc na siebie obowiązek niewolnika i podałem Theodore'owi swoją chusteczkę, którą wytarł usta. Zawahał się, zerknął na swojego sługę i schował ją do kieszeni, prawdopodobnie uznając, że Peter Williams nie jest w nastroju, by oglądać

więcej jego wymiocin. Nie sędzę, by Williams wybaczył już Theodore'owi niebezpieczny ciąg, podczas którego chłopak przewlókł go w ostatnich miesiącach przez londyńskie knajpy, wśród prostytutek i melin.

– Zauważyli nas! – Zawołanie z masztu zabrzmiało głośniejsze o ton lub dwa.

– Niech ich diabli. Niech pan podejdzie o stopień lub dwa bliżej wiatru, panie Peters.

Skóra Theodore'a była przezroczysta, tym razem bez rumieńców, a jego czerwone usta popękane od wiatru i soli. Prawdopodobnie wyglądałem nie lepiej niż on i zupełnie inaczej niż ktoś, kogo znał w Londynie – bez peruki i stonowanego ciemnego stroju z Whitehall. Miałem gołą głowę i swoje rolnicze ubranie, które było najcieplejszym odzieniem, jakie zabrałem ze sobą, moje zielone okulary były zaś połączone na mostku skręconym drutem. Jeśli rząd chciał, bym pozostał *incognito*, to z pewnością powinienem się do tego stosować. W ciemnościach mojej kajuty, Mój Panie, żałowałem, że w jakikolwiek sposób jestem wobec Ciebie zobowiązany, i zastanawiałem się, czy nie schować gotówki, którą mi przysłałeś, i nie uciec na amerykańskie pustkowia. Ale, podobnie jak Peter Williams, który zdecydował się wrócić do Filadelfii z Theodore'em zamiast domagać się wolności w Londynie, stwierdziłem, że nie zniosę rozłąki na zawsze z moją rodziną i tymi, których kiedyś tak głupio kochałem.

Obserwator ogłosił kolejne złe wieści:

– Zmieniają kurs. Płyną w naszą stronę.

Kapitan Morris pośpiesznie złożył lunetę i zszedł na pokład, gdzie Philpott stał z komtesą, której siostrzeniec chwilowo zniknął.

Philpott chwycił kapitana za rękaw.

– Porzucili indiamana?

– Na to wygląda, mimo że statek jest po brzegi wypełniony srebrem.

– A co to oznacza?

– Ogólne rozkazy przechwycenia poczty, jeśli nam się poszczęści.
Szczególne zainteresowanie naszym ładunkiem, jeśli nam się nie poszczęści.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

2 Ang. *ship* (statek) w ustach hrabiny, z jej francuskim akcentem, najwyraźniej brzmi jak *sheep* (owca).

3 *Indiaman* – duży, uzbrojony żaglowiec handlowy, zdolny do długich, samodzielnych podróży do Indii lub Chin (zazwyczaj takie podróże statki handlowe odbywały w asyście okrętów wojennych).

4 Inaczej furty działowe – otwory wycięte w burcie, przez które wystawiało się lufy dział przed oddaniem strzału.

5 *Black Drop* (Czarna Kropla) albo *Kendal Black Drop* – XIX-wieczne lekarstwo na bazie opium, znane w Wielkiej Brytanii i Ameryce Północnej.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Słowo od autorki

Postaci

CZĘŚĆ PIERWSZA

1